

Bohdan Reichel

Nagranie relacji: Janina Wołczuk

Redakcja maszynopisu: Beata Wołczuk

Temat: Ziemia Lidzka w latach 1922-1956 - życie codzienne, kultura, losy mieszkańców

© ARCHIWUM WSKRODNIĘ

Urodziłem się 30 kwietnia 1924 roku w Szejbakpolu, powiat Szczuczyn Nowogródzki, województwo nowogródzkie.

Szejbakpole to był majątek - własność mojej matki, około 300 hektarów. Mieszkaliśmy tam całą rodziną: rodzice i nas czworo - rodzeństwo. Matka moja była kresowianką, a ten majątek kupił mój dziad jako posag dla mamy. Dziadek Kondratienko był chyba generałem carskim, a po rewolucji matka miała prawo do tego majątku, bo ona właśnie była właścicielką. Babka moja wyszła za generała Kondratienko, kiedy ten był już na emeryturze; dziadek zmarł, kiedy moja mama miała chyba 4 lub 5 lat. O 6 kilometrów od Szejbakpola była Lebiodka, tam urodziły się bliźnięta - moje rodzeństwo - Adam i Ewa.

Moje dzieciństwo było spokojne, zamożne. Wakacje spędzałem w domu, a reszta czasu to była szkoła. Moje starsze rodzeństwo uczyło się w domu, początkowo otrzymywało edukację domową, a potem do gimnazjum poszli do szkoły. A ja od pierwszej klasy chodziłem do szkoły powszechnej; do I klasy poszedłem w Grodnie. Mieszkalem przez pierwsze lata razem z matką, bo mama też była wtedy w Grodnie, a potem byłem na stacji u pewnej pani - to była wdowa z córką i brała na mieszkanie uczniów. W tym czasie, kiedy mieszkalem w Grodnie z rodzicami, mój ojciec pracował w Grodnie; potem ojciec przeniósł się do pracy do miejscowości Skidel, a mama wróciła na wieś. Wtedy właśnie zamieszkałem w Grodnie u pani Czerniejowej. Ona opiekowała się mną tak jak matka; spotkałem ją po wojnie w Jędrzejowie, odwiedziłem.

W Grodnie uczyłem się w prywatnej szkole koedukacyjnej sióstr nazaretanek. To była szkoła 6-klasowa. Ukończyłem ją. W Grodnie składałem egzaminy do gimnazjum, ale naukę gimnazjalną rozpocząłem w Szczuczynie - tam chodziłem do 1-3

klasy. Szczuczyn to nieduże miasteczko, ale gimnazjum było bardzo sympatyczne. Bardzo o nie dbał dyrektor Omilianowicz, uczył chyba w starszych klasach.

W Szczuczynie mieszkiałem przez jakiś czas razem z ojcem, bo ojciec miał mieszkanie przy sądzie. Przez jakiś czas mieszkiałem też w internacie. Na niedziele jeździliśmy zawsze do domu - ojciec i ja z rodzeństwem. Przyjeżdżał po nas furman bryczką. Potem ojciec kupił nam rower, to jeden z nas jechał rowerem, a drugi z ojcem bryczką - jechaliśmy tak na zmianę. Do domu ze Szczuczyna było 16 kilometrów. Droga była urozmaicona - trochę szosa, potem las i pola...

Zasluga dyrektora szkoły było to, że on rozbudował tę placówkę. To było poprzednio seminarium nauczycielskie, a potem to stało się koedukacyjnym gimnazjum - dla wszystkich okolicznych wsi. W szkole były też dzieci chłopskie. Niektóre z nich były nawet nieobyte. Pamiętam, jak dzieci śmiały się z jednego kolegi, który kupił sobie loda, zjadł i odniósł kubeczek, bo sądził, że to trzeba zwrócić.

Za naukę w gimnazjum się płacono, ale ja nie wiem, ile to kosztowało. Rodzice nie włączali nas do tych spraw materialnych. W gimnazjum nie byłem chyba najwyżej notowanym towarzyszko i materialnie uczniem. Moje przyjaźnie z tych lat były bardzo różne. Przez pewien czas siedziałem w jednej ławce z Żydem Mordechajem Teplickim. W klasie było też kilka koleżanek Żydówek. To nie były dzieci z bardzo zamożnych rodzin, bo u nas był raczej niewielki handel. W szkole było sporo dzieci z domów, w których nie mówiło się najczystsza polszczyzną. W czasie wakacji bywałem w otoczeniu, które mówiło po białorusku, chociaż to nie był białoruski język literacki, to był język "prosty". W szkole było sporo dzieci, które miały trudności z poprawną polszczyzną. Miałem kolegę, którego bardzo chciałem nauczyć wymawiać "e" i "a", ale on uparcie mówił "sień" i "joń" zamiast "się" i "ja". W klasach wyższych nie pamiętam już takich różnic językowych, więc albo ja się przyzwyczaiałem, albo oni się nauczyli poprawnej polszczyzny.

Reichel Bohdan c.d. - 3 -

W szkole przynajmniej raz w roku była szkolna zabawa taneczna. W Szczuczynie było kino, to było nawet ciekawe, bo kino mieściło się w podziemiach kościoła. W Szczuczynie był jeden kościół katolicki i bardzo ciekawie był usytuowany, bo jak się wjeżdżało do Szczuczynan to po lewej stronie była cerkiewka, a po prawej kościół. Do kościoła był dobudowany klasztor pijarski, potem w tym klasztorze mieścił się areszt czy więzienie.

Na religię do nas przychodził ksiądz z kleru świeckiego, nie zakonnik. W klasie były też dzieci prawosławne, ale do nich na lekcje duchowny nie przychodził, podobnie też do dzieci żydowskich. Te wyznania miały edukację religijną poza szkołą. W szkole nie było żadnych nieporozumień na tle różnic wyznaniowych; może tylko czasami jakieś drobne żarciki. W mojej klasie były chyba 2 Żydówki i 4 Żydów; był też jeden uczeń grekokatolickiego obrządku i on zostawał na lekcje religii razem z nami. W klasie było też kilku Tatarów, ale niczym się nie wyróżniali.

W Szczuczynie była jedna bożnica żydowska; było sporo Żydów, handel cały był w rękach żydowskich; polska była tylko księgarnia i spółdzielnia spożywców - dosyć duża.

W Szczuczynie był park i pałacyk Druckich-Lubeckich. Park ten był dostępny dla publiczności, można tam było spacerować. Ojciec jednego z moich kolegów był administratorem w tym pałacyku, bo właściciele tam nie mieszkali. W Szczuczynie były też zakłady sklejk, to były zakłady prywatne, ale nie wiem, czyje. Zakłady nie były duże, ale coś tam jednak robiono. Poza tym w Szczuczynie nie było innych miejsc pracy, to miasteczko było centrum handlowym dla okolicznych wsi. Była w mieście też szkoła powszechna.

Wakacje spędzałem w domu, hasałem na bosaka po lasach, łąkach, polach. Koło nas była też zawsze woda. Z rodzeństwa byłem najczęściej z siostrą, ale zabawy były z dziećmi wiejskimi - ja byłem z rodzeństwa najmłodszy.

Szejbakpole to był majątek, ale była też wieś o tej samej nazwie. Może kiedyś dawniej to była wieś należąca do

majątku. Wieś była mieszana - prawosławna i katolicka. Kościół parafialny był w Starych Wasyliszkach, stamtąd pochodzi piosenkarz Czesław Niemen-Wydrzycki. Z Szejbakpola do kościoła było 6 kilometrów, szło się obok majątku mojej babki - Lebiodek.

Naszym majątkiem zarządzał ekonom, bo ojciec pracował zawodowo jako prawnik. W domu była mama, pod jej nadzorem był dom i ogrod, a prace polowe były w gestii ekonoma. Byli przy majątku najemni robotnicy stali, którzy najmowali się na określony czas. Mieszkali w drewnianych czworakach; wbrew nazwie, to nie były domy dla czterech rodzin, ale dla dwóch. Robotnicy byli katolikami, bo chodzili do kościoła, a mówili "po prostu". Pamiętam kiedyś był u nas chyba ekonom, zapewne szlachcic, dbał o to, by dzieci jego mówiły po polsku i je strofował. Jedną z jego dziewczynek była rówieśnicą mojej siostry, dzieci ekonoma przychodziły do nas się bawić. Potem my biegliśmy bawić się do nich. Pewnego razu dziewczynka ta zapytała matkę o świecę. Ojciec wtedy spojrział spoza okularów, bo akurat coś czytał, i poprawił: "Bronka, mówi się - świeca - a nie - świeca". A dziewczynka: "A ot świeca", bo ona była u nas i przejęła wymowę od nas. ■

Widzę te stosunki oczami dziecka, wspominam przyjaźń, zażyłość z innymi dziećmi. To zresztą okazało się w roku 1939, kiedy ludzie z czworaków przychodzili i ostrzegali moją mamę, że ktoś chodzi i agituje przeciw panom. ■

Wieś Szejbakpole nie była zbyt zamożna, to nie były duże gospodarstwa. To była typowa wieś-ulicówka, o zwartej zabudowie, chatka przyklejona do chatki. Inaczej wyglądały zabudowania tych, którzy mieszkali na koloniach. Z Szejbakpola przychodził do nas do pracy w roli furmana młody człowiek, w ten sposób dorabiał sobie. We wsi nie było ani szkoły, ani świetlicy. Dzieci chodziły do szkoły do Wasyliszek - to było stosunkowo najbliżej.

Wieś była kryta słomą; był jakiś sklepik z najpotrzebniejszymi towarami - sól, nafta, śledzie. Kupowali w nim i gospodarze i majątek, a po większe zakupy jeździło

się do Wasiliszek. Podłóg w chatach wiejskich jeszcze nie było; nawet u nas w kuchni było klepisko. Pieniędzy nie było za dużo nawet u nas; bardzo dużo pieneędzy szło na podatki. Pamiętam w jednym roku dostałem życzenia od ojca - na karteczce najlepsze życzenia i uwaga, że prezentu mi nie da, bo nie ma pieneędzy. Praca zawodowa mojego ojca to była konieczność, te zarabiane pieneądze zawsze się przydały. Nie wiem, dlaczego majątek nie dawał oczekiwanych dochodów, może dlatego, że jakiś był zadłużony, albo dlatego, że przez jakiś czas był w dzierżawie. Z rozmów między rodzicami wynikało, że z wynagrodzenia ojca dokładało się jeszcze do majątku. Te pieneądze były potrzebne. Życie w naszym domu nie było zbyt kowne. Żywność była swoja, nie jeździło się nawet do Wilna, pieneądze wydawało się na naukę dzieci.

Brat skończył 7 klas w Grodnie i nie chciał się uczyć dalej; był zamiłowanym gospodarzem, miał pozostać w majątku. Brat dopiero teraz oddał gospodarke. Po przyjeździe do Polski osiadł na gospodarce koło Bystrzycy Kłodzkiej, był w PRL rolnikiem. Miał 10 hektarów jako osadnik wojskowy. Brat Mirosław był w 1939 roku na froncie. Był w twierdzy Modlińskiej, potem musieli z tej twierdzy wyjść i gdzieś pomiędzy Modlinem i Warszawą trafili do niewoli. Cały czas przebył w obozie jenieckim koło Królewca. Po wyjściu z obozu zamieszkał razem ze swoją obecną żoną w Sokołce, a potem przeniósł się w okolice Bystrzycy Kłodzkiej. Osadnikiem wojskowym jest z tytułu kampanii wrzesniowej.

Pozostałe rodzeństwo początkowe nauki pobierało w domu, potem poszli do gimnazjum - brat do Sokołowa Podlaskiego, a siostra do Wilna. Potem brat przeniósł się do Szczuczyna, a siostra uczyła się nadal w Wilnie. Wybuch wojny zastał ją przy rodzinie, bo akurat była na wakacjach. Potem my wyjechalismy do stryja do Delmatowszczyzny, a siostra pojechała do znajomych. Nie było jej z nami, kiedy nas zabierali. Siostra była u państwa Raubów, niedaleko od nas, ale myśmy się nie przyznali, powiedzielimy, że ona jest w Wilnie. Dlatego siostrę deportacja ominęła.

Reichel Bohdan, c.d. - 6 -

Siostra była w Wilnie, potem na krótki czas mogła wrócić do domu - jak była okupacja niemiecka. Mogła wtedy mieszkać w swoim domu, zarządzać majątkiem, musiała tylko płacić podatki, oddawać dostawy obowiązkowe. Siostra przebywała w Szejbakpolu, dzięki niej przeżyły dwie Żydówki, które się w Szejbakpolu ukrywały. W majątku mieli też oparcie partyzanci. Kiedy ponownie przyszli Rosjanie w 1944 roku siostra uciekła do Wilna. W Wilnie miała oparcie w znajomych i krewnych. Właśnie z Wilna wyjechała do Polski; miała trochę kłopotów - siostra była już mężatką, miała wyjechać z rodziną męża - Ożyńskimi, ale... Szwagier Ożyński był w partyzantce, tak się poznali z siostrą i pobrali. Teraz nie są razem...

Przed wojną życie towarzyskie rodziców obracało się w kregu krewnych - utrzymywaliśmy kontakty ze stryjem Witoldem Reichelem; stryj dzierżawił majątek. Stryj zginął z rąk Rosjan; był zabrany razem z nami, ale go wypuścili. Razem ze stryjem została babcia; Rosjanie chcieli ją zabrać razem z nami, ale jakos posłuchali perswazji, że to taka starowinka... Babcia zmarła w stronach rodzinnych. Ze stryjenką potem nie miałem kontaktów.

Większość naszych kontaktów była z rodziną matki, z babcią /z domu Mokrska/. Babcia miała kilku braci, kiedyś Mokrcy mieli jakies mająteczki, ale potem to wszystko się rozdrobniło. Mokrcy mieszkali w mająteczku z drugiej strony wsi Szejbakpole. Krewnych matki nie deportowano. Potem oni przyjechali do Polski i osiedlili się na Mazurach.

Nas być może też by nie deportowano, majątek nie był powodem; deportowano nas z powodu ojca, dlatego, że ojciec był sędzią. Mam zaświadczenie, wydane mojej matce, mówiące o tym, że znajomy, z którego domu nas wywożono, zobowiązał się sprzedać naszą krowę i przysłać nam pieniądze. Kiedy nas wywożono, to przeciwko nam nie było argumentu o przynależność do "pomieszczyków". Może tak było dlatego, że nie było żadnych zdrażnień na styku z ludnością okoliczną i nami. Nie było na nas żadnych skarg.

Po ojca przyjechał chyba NKWDzista /może to był

milicjant/ w towarzystwie miejscowych Żydów z Wasiliszek /zaraz po wkroczeniu Rosjan Żydzi poszli do nich na służbę/. Przed wojną u nas nie wyczuwało się wpływów komunistycznych. Pierwszym propagandzistą, o którym można by było wspomnieć, był ten, który chodził i pytał, czy panowie jeszcze mieszkają.

Nasze wysiedlenie miało przyczyny tylko polityczne, bo władzom nie mogło zależeć na naszym domu -to był nieciekawy budynek, niegdysiejszy chyba magazyn, parterowy, z małutkimi okienkami, grubymi murowanymi ścianami. Do tego budynku były dobudowane dwa pokoiki, potem - drewniana przybudowaczka.

strona 8

Przybudówkę robił potem mój brat, kiedy się ożenił. Bratowa była nauczycielką z zawodu. Mieszkała we wsi Gierniki - była ze swoją matką, też nauczycielką. Bratowa uczyła się w gimnazjum w Szczuczynie razem z moim bratem Adamem. Rodzice akceptowali małżeństwo brata, nie traktowali tego jako mezalians, ale nie wszystko się dobrze ułożyło. Matka mojej bratowej najpierw się cieszyła, że wydaje córkę za mąż / to był awans społeczny dla dziewczyny/, a potem bez przerwy odbierała córkę do domu, do siebie. Bratowa była to z matką, to z mężem - i tak bez przerwy, aż do chwili mobilizacji brata w 1939 roku. Bratowa z matką była również deportowana. Ale było też przeżycie niezwykle: bratowa urodziła synka, w chwili deportacji ktoś jej doradził, żeby dziecka ze sobą nie brała, bo dziecko malutkie może nie przeżyć. Dziecko zostało w Szczuczynie u pani doktor Iwanowej i tak to już zostało. Mielśmy potem informację, że dziecko zmarło, ale nie wiem, na ile ta informacja jest prawdziwa. Może komuś zależało na tym, żeby nie odbierać dziecka. Bratowa wróciła z deportacji sama, bez matki. Skontaktowała się z nami po powrocie, wtedy mieszkaliśmy w Bystrzycy, ale brat miał już nową rodzinę. Uporządkowali jedynie swoje sprawy rozwodowe. Utrzymywałem z nią przez jakiś czas kontakt.

Nasz dom w dzisiejszych czasach nie nadawałby się do zamieszkania dla całej rodziny. Kiedy wkroczyli Rosjanie

poinformowano nas, że majątek nie jest już naszą własnością. Te informacje otrzymaliśmy przez kogoś z naszych dawnych pracowników, który był teraz w jakichś lokalnych władzach. To był chyba Leon Bohdziewicz - bardzo solidny pracowity człowiek, przyjaciel mojego starszego brata, któryagnał do roli i do ludzi prostych. Otóż Bohdziewicz poinformował nas delikatnie, że już nie jesteśmy właścicielami majątku, ale możemy w nim pracować tak jak pozostali pracownicy i zarabiać na dniówkę. Przymusu pracy nie było. Rozliczano w krótkim czasie - płacono w naturze, na przykład za wianie zboża płacono zbożem. Z naszego dobytku mogliśmy zatrzymać jedną krowę. Pozostałe były oporzadzane przez tych samych pracowników co poprzednio, ale to już nie było nasze. Mleko przerabiała pewna Żydówka, która odbierała to mleko u nas przed wojną. Zarządcą majątku był zapewne Bohdziewicz albo ktoś, kto był w majątku wcześniej. ■■■

Podobno po naszym wyjeździe dobytek nasz został rozdzielony, rozebrany przez poprzednich pracowników majątku. Już przed deportacją nie mieszkaliśmy w majątku, opuściliśmy dom za poradą tegoż Bohdziewicza. Kiedy nas wywożono, to ludzie przyszli nawet się pożegnać. A kiedy wyprowadziliśmy się z majątku, to nic nie można było brać z dobytku, mogliśmy wziąć swoje rzeczy. To było w grudniu 1939 roku. Zamieszkaliśmy u stryja.

Mająteczek, który dzierżawił stryj, był nastawiony na sadownictwo. To był chyba majątek pana Iwanowickiego: stryj już nie mieszkał w domu w majątku, przeniósł się do domku pod lasem, nie był już też dzierżawcą majątku. Miał chyba dwie krowy, kawałeczek pola i z tego żył. My też nie wiedzieliśmy na jak długo do niego przyjechaliśmy, w tym czasie nikt się nad tym nie zastanawiał. Mielśmy trochę zarobionych produktów. Chodziłem do pracy w majątku prawie codziennie, mimo iż przed wojną nie pracowałem fizycznie; skoro było powiedziane, że trzeba pracować - to pracowałem. Podobnie potem, kiedy kazali iść do kopalni, to też poszedłem, chociaż nigdy nie byłem górnikiem. Wtedy jedno było przykre: była

i podmrażałem nogi. bo nie miałem odpowiedniego obuwia. Ludzie nie kpili ze mnie, mieli dla mnie raczej współczucie, że to jest sytuacja nienormalna. Swoją krowę też doiliśmy i oporzadzali sami -to robiła siostra i ja. Nikt nie odczuwał tego jako kary, musieliśmy pracować i to było zrozumiałe. Zresztą jeszcze przed wojną mama dużo czasu spędzała w ogrodzie, brat starszy przecież po 7-ej klasie dalej się nie uczył i był przy gospodarce, mógł stanąć do każdej pracy i stawał. Jak trzeba było młócić, to stawał do młócenia. Mieliśmy już motor do młockarni, była młockarnia, siewkarnia. Gospodarstwo to nie było jeszcze naprawdę nowoczesne, nie było nastawione na żadną specjalizację. dopiero brat miał jakieś tam plany. To wszystko wynikało z tego, że gospodarstwo było chyba zadłużone. Głodni nie byliśmy, ale nikt u nas nie marzył nawet o samochodzie, ani o doprowadzeniu prądu czy czegoś takiego. Lampy były naftowe, ale z pokoju do pokoju też się przechodziło ze świecą.

Ja wtedy nie miałem jeszcze konkretnych planów na przyszłość, myślałem raz, że może będę nauczycielem czy księdzem. Po wojnie zresztą przez parę lat uczyłem.

O pierwszej fali deportacji - 10.II 1940 roku niewiele słyszeliśmy, ale były słuchy, że wywożą. Od tego czasu nie nocowaliśmy stale u stryja, ale po sąsiadach - raz u tego, raz u tamtego. Zabrali nas właśnie z takiego gościnnego noclegu. Nocowaliśmy wtedy u pana Antoniego Berdowskiego. Mieszkanie to było nieduże, ciasne, brakowało miejsca dla wszystkich. Zdecydowałem się spać na sianie w szopie. Obudziłem się wcześnie, bo owce bęczały. Zauważyłem, jak biegli mundurowi w kierunku tego domku. Usiłowałem dać znak bratu, ale brat nie zauważył tego. Z domku wyskoczył jeden ze znajomych, który też nie nocował w swoim domu. Ci żołnierze /a może to byli milicjanci/ zabrali więc mamę, brata i stryja. Przechodząc koło szopy zapytali, co w niej jest. Odpowiedziano im, że tam są barany. Szopy nie sprawdzano. Ja wyszedłem potem z szopy i uciekłem do lasu. A oni wiedzieli, że ja muszę być w pobliżu. Wydali polecenie okolicznym

ludziom, żeby mnie doprowadzili, jak tylko znajdą. A ja siedziałem na drzewie i obserwowałem wszystko. Ci funkcjonariusze próbowali wejść do lasu, ale chyba się bali. Zszedłem potem z drzewa i szedłem przez las. Spotkałem dwóch wieśniaków, którzy mnie chyba zidentyfikowali; wyperawadowali mnie, żebym dołączył do matki, bo nie miałem gdzie się podziak. Doprowadzili mnie do matki - ja się na to zgodziłem. Nasze zbieranie się trwało chyba pół dnia, mama mogła spokojnie się spakować - zabrała pościel, trochę nasuszonych sucharów /dzięki nim mogliśmy tam jeszcze jakiś czas przeżyć/. Mogę więc powiedzieć, że ta moja ucieczka choć na tyle się przydała, że mama miała więcej czasu na pakowanie się - kiedy mnie szukano. Kiedy już byliśmy w komplecie /powiedzieliśmy, że siostra jest w Wilnie/ furmankę zawieźli nas do Szczuczyna; dotarliśmy tam gdzieś po południu. Umieszczono nas w sali posiedzeń sądu. Tam już byli ludzie, ale nie było nikogo znajomego. Przenocowaliśmy w tej sali. Na drugi dzień powieźli nas samochodem do Baranowicz. Było może ze 20-30 osób.

Jechaliśmy przez Nowogródek. W Baranowiczach powieźli nas na dworzec, ale tam się okazało, że do transportu już nikogo nie można dołączyć. Zawieszono nas do jakiegoś budynku, a po paru godzinach zdecydowano, że będziemy czekać na następny transport. A następny transport był za miesiąc. Wobec tego zawieszono nas do Równopola - to był mająteczek z niewykończonym domkiem. Była nas grupka około 20 osób. Przemieszkaliśmy tam miesiąc. Do Równopola codziennie kogoś dowozili, w pewnym momencie przywieziono panstwa Kondratczyków - rodziców i dwie dziewczynki i chłopca.

W Równopolu było nawet i komicznie. Była już wiosna, ciepło. W domku nie było żadnych mebli, spało się na podłodze - ale nie było już zimno. Przez pierwsze dni było nawet przestronnie. Nie było drutów, ale byli strażnicy. Można było poruszać się w zasięgu wzroku tych strażników-milicjantów. To nie byli już Żydzi, ale Białorusini. Rano strażnik Mikołaj przychodził i budził: "Pany, pany, wstawajcie". Kazał obierać kartofle. Nasze panie wyznaczyły jakieś dyżury. Dawano

ziemniaki i kasze. Pamiętam, że jedna pani narzekała: "Znów z alejam". - to była wilnianka i nie lubiła oleju, który dawano na omastę. Te posiłki były wystarczające jak na tamte czasy.

Nas nikt nie odwiedzał w tym czasie, nie wolno było wysyłać listów, prawdopodobnie więc nikt nie wiedział o tym, że my tam jesteśmy. Pewnego dnia do tego Równopola została przywieziona księżna Mirska z dwójką dzieci - może 2 i 3 lata. Ona bezustannie pisała listy, gdzieś do jakichś władz. Listy te na pewno przechodziły jakąś drogę urzędową. Ona oficjalnie mówiła, że nie ma po co jechać do Rosji, bo pracownik z niej będzie żaden, a małe dzieci też nie będą pracowały. Listy te odniosły skutek. Księżna Mirska miała kogoś w Warszawie, a prawdopodobnie było gdzieś porozumienie pomiędzy Rosjanami i Niemcami, że rodziny mogą się połączyć. Ona wyjechała z przekonaniem, że jedzie do męża czy do kogoś innego z rodziny w Warszawie.

Było kilka przypadków ucieczek, chyba udanych, bo uciekinierów z powrotem nie dołączyli. Kiedyś w naszym gronie pojawił się jakiś młodzieniec, który grał na skrzypcach. Całymi dniami grał. Jednym to się podobało, innym nie. Muzyk ten chodził dookoła podwórka, po tym polu i ciągle grał. Pewnego dnia chodził tak dookoła i grał i oddalał się coraz bardziej; strażnicy słuchali jak zahipnotyzowani. My zauważyliśmy ten manewr skrzypka. A on oddalał się coraz bardziej, aż zniknął z pola widzenia. Na noc nie wrócił. Nie wiem nawet, kto to był.

Próbie ucieczki podjęła pewna pani z małym synkiem. Wciągnęła mnie do tego spisku - chciała, żebym jej pomógł. Pani ta naszykowała sobie koszyczek z prowiantem i ja ten koszyczek miałem wynieść i zamaskować za jakimś krzaczkiem. Zrobiłem tak, jak mi pani mówiła. Pani z dzieckiem rzeczywiście zniknęła. Kiedy wieczorem liczone naszą grupę, zauważono nieobecność tej pani. Strażnicy wszczęli poszukiwania. Znaleźli ten naszykowany koszyk z prowiantem i zrozumieli, że pani uciekła. A ja nie mogłem pomóc, dlatego ona nie zabrała tego koszyczka. Może ja coś źle zrobiłem?

Ludzie byli dowożeni do Równopola z różnych miejscowości, z różnych stron; nas przywieźli aż ze Szczuczyna - to przecież daleko, mogli więc być ludzie z Polesia. Ze znajomych byli tylko państwo Kondratczykowie z Wasiliszek. Jechaliśmy około miesiąca razem w jednym wagonie, na miejscu byliśmy gdzieś w połowie czerwca. Ale naszych współtowarzyszy nie pamiętam, bo w końcu drogi samotne matki i samotne kobiety zostały oddzielone i skierowane do sowchozu, a rodziny z mężczyznami zostały skierowane do tajgi. Ten podział nastąpił jeszcze przed przyjazdem do Tutujasu. Potem kiedyś byłem w tych Osinnikach, w których mieszkali nasi, ale przesiedziałem te dwa dni u znajomych.

taśma II

Po roku 1944, kiedy Rosjanie ponownie wkroczyli na nasze kresy, werbowali do pracy mężczyzn. Niektórzy z nich pracowali potem razem ze mną w kopalni. Pamiętam z tych czasów pana Rychlickiego, który często przychodził do nas, do mamy. Oburzał się, że niektórzy mówili /na kresach/, że Rosjanie w 1940 roku wywieźli Polaków z kresów na zatracenie, a ci deportowani tutaj sobie tymczasem żyją i to wcale nie najgorzej - lepiej od tych, którzy przyjechali na roboty po roku 1944. Pan Rychlicki był z wyglądu typowym szlachcicem, z sumiastym wąsem. Widocznie oceniał wszystko według naszych warunków, u nas wydawało mu się przytulnie - w porównaniu z tymi warunkami, w których mieszkali robotnicy. U nas posiedział, odpoczął, wypił herbatę i to mu się podobało. Na tamte czasy my rzeczywiście wyglądaliśmy na zamożnych.

A w 1939 roku, kiedy wchodzili Rosjanie, to pytali o "kaszadi", a ja sądziłem, że to jest pytanie o broń, o szablę, bo nie znałem rosyjskiego. Odpowiadałem, że nic takiego nie mamy, bo rzeczywiście nie mieliśmy broni. A potem Rosjanie zobaczyli, że konie w stajni stoją, więc zamieniali swoje szkapy na nasze konie. Inny interes, który oni załatwiali, to kupowali masło u tej Żydówki pachciarki. Pachciarka ta przeżyła chwilę niepokoju, bo wyznaczyła im

cenę, o której sądziła, że jest wysoka i bała się posądzenia o zdzierstwo. A oni jej zapłacili nawet o 2 ruble wyżej niż ona żądała i nawet jej jeszcze dziękowali. Takie były moje obserwacje z Szejbakpola. A kolejne uwagi były już w Szczuczynie, kiedy wróciliśmy do szkoły. Okazało się, że w sklepiku z materiałami szkolnymi nic nie było, bo Rosjanie wszystko wykupili.

Do tej szkoły chodziłem tylko parę miesięcy. Książki były polskie. Pojawił się zdaje się jakiś podręcznik do białoruskiego, a rosyjski był wykładany przy pomocy kredy i tablicy.

Przed wojną nie miałem prawie żadnego pojęcia o Rosji. Kiedy moi rodzice zamieszkali razem w Szejbakpolu, to do nich przyjechała z Moskwy nasza babcia z młodszym synem. Mówili, że przyjechali stamtąd, bo tam już się nie da żyć. A mój stryj przyjechał w damskich pantoflach na wysokich obcasach, bo nie mógł kupić żadnego innego obuwia. Stąd u nas było wyobrażenie o tym, że tam jest źle, że nic nie ma. Ale to było dość daleko od granicy. Od rodziców nic nie słyszałem o Rosji. Towarzystwo zbierało się na przyjęcie i tańce na imieniny. Bywał u nas też emerytowany wojskowy, który pochodził zza Mińska, mieszkał tam przed rewolucją. Ale on wracał wspomnieniami jeszcze do czasów przed rewolucją - i nic więcej.

Znam dzisiaj jednego pana pochodzącego z Sambora. Pan ten opowiada, że będąc chłopcem przed wojną czytał gazety i z przerażeniem wyczytywał o tym, co się dzieje w Rosji, ale nic z tego nie rozumiał, bo to przekraczało jego wyobrażenia. Jedynie pamiętał, że ludzie z przerażeniem mówili o tym, że w Rosji uczą dzieci, że Boga nie ma.

Moje dzieci teraz wiedzą, że byłem na Syberii, ale tylko tyle, bo ilekroć zaczynałem im opowiadać, zauważałem, że oni tego nie mogą pojąć. Mówilem, że otrzymywaliśmy z mamą 45 dkg chleba na dobę i musieliśmy zaspokajać głód pokrzywą czy lebidą. Ktoś zauważył, że 45 dkg chleba to wcale nie jest mało, wcale nie zwracając uwagi na to, że nie było więcej nic poza tą pokrzywą. Pytałem, czy wiedzą, jakie było

moje największe pragnienie wtedy? A ja marzyłem o tym, żeby doczekać czasów, kiedy będę mógł nalać sobie szklankę mleka i sam ją wypić. To nie było tak, żeby mleka tam w ogóle nie było, ale jak się dostało szklankę mleka, to trzeba było nam się podzielić. Nie żałowałem mleka matce, ale marzyłem o szklance mleka dla siebie. Miałem ciągle niedosyt jedzenia i pragnienie mleka.

Przed wojną zdarzały się w Szczuczynie jakieś gazetki prokomunistyczne, ale to była dla mnie absolutna abstrakcja, to w żaden sposób nie przystawało do naszej rzeczywistości. Mój ojciec z Rosji wyjechał jeszcze przed rewolucją, babcia ze stryjem zaraz po rewolucji. A w szkole temat rosyjski nie był poruszany. Nie pamiętam ze szkoły nawet jakiejś głębszej edukacji historycznej, o powstaniu styczniowym ohyba się prawie nie mówiło - i to na tamtych terenach! Owszem, było w jakiejś książce o Flaterównie, ale tego było niewiele. Nasi nauczyciele byli ludźmi napływowymi. Tak że o sprawach rosyjskich niewiele wiedziałem.

Kiedy Rosjanie wchodzili do nas w 1939 roku, pamiętam, że ojciec pewnego razu zapytał, czy są wśród nich moskwiczanie. Żołnierz, który usłyszał to pytanie popatrzył na kolegów i nic nie odpowiedział. Dla mnie to było też zaskoczeniem, że z nimi nie można było rozmawiać o żadnych innych sprawach niż te, które przewidywał regulamin. Potem, kiedy już poznałem Rosję jako deportowany, zrozumiałem, dlaczego Rosjanie nie mogli sobie pozwolić na dowolne swobodne wypowiedzi. Potem ja zachowywałem się tak, jak oni. Jeżeli mnie ktoś o coś pytał, to ja zastanawiałem się, z kim mam do czynienia, czego on ode mnie chce, co mogę mu odpowiedzieć.

Jeśli chodzi o samych Rosjan, o konkretnych ludzi, to zostały u mnie wspomnienia dobre, dużo dobrych wspomnień. Od Rosjan, od konkretnych ludzi nie zaznałem żadnych przykrości, wręcz odwrotnie - spotykałem odruchy bardzo życzliwe, bo jeżeli Rosjanka, która miała trzy kurki - niezbyt wykarmione, wiedząc z rozmów z moją mamą, że zbliża się nasza katolicka

Wielkanoc, przynosi w niedzielę Wielkanocną jedno jajko - a wiedziała od mojej mamy, że u nas jest zwyczaj dzielenia się jajkiem na Wielkanoc. Jak mogę ocenić tę prostą kobiecinę! Sama nie miała, a przyniosła, bo wiedziała, że to nasze święto.

A NKWDziści, niezależnie od tego, czy to była kobieta czy mężczyzna, niezależnie od stopnia i wieku - to był inny gatunek ludzi. Jeżeli kobieta w naramiennikach - a więc już z jakimś stopniem - już w momencie sporządzania spisów na wyjazd do Polski, stwierdza, że my do żadnej Polski nie pojedziemy, bo ja jestem urodzony koło Łidy w Szejbakpolu, a mama w Grodnie - a więc jesteśmy obywatelami radzieckimi. Co prawda mieliśmy wtedy paszporty radzieckie, bo paszportyzacja była niezależna od naszej woli. Dostaliśmy je jeszcze w Myskach, mieliśmy je więc i w Prokopiowsku. Odpowiadamy jej, że kryterium jest obywatelstwo przed rokiem 1939. Ona na to, że ona nic o tym nie wie. Wtedy zdenerwowaliśmy się okropnie, bo żyliśmy tylko tą nadzieją na wyjazd. Powiedzieliśmy jej, że nie wyjdziemy z gabinetu, dopóki nas nie zarejestruje. Ona na to, że możemy sobie siedzieć u niej, miejsca wystarczy. Ale w tym czasie wszedł przedstawiciel ZPP - Żyd /a mama była jego wice-/. Wykładamy problem temu przewodniczącemu, on przeprowadził rozmowę z tą funkcjonariuszką i postawił sprawę na właściwe tory. Popatrzyłem na tę funkcjonariuszkę - kobieta była w wieku mojej mamy, miałbym prawo jako młody człowiek oczekiwać od niej pomocy prawie matczynej. A tu nic. I takich ludzi było więcej. Podobna scenka jest opisana w "Zsyłce" Lęczyckiej. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co się może zdarzyć w Rosji obecnie, kiedy ze sobą zderzą się te dwa odmienne typy ludzkie, bo ten typ NKWDzisty istnieje na pewno do dzisiaj. Widać te twarze jeszcze dzisiaj na ekranach telewizorów.

Do szkoły rosyjskiej na zesłaniu poszedłem jeszcze w Tutujasie, w 1940 roku Przez wakacje pracowaliśmy w różnym miejscu, czasami po kilka dni; prace były różne. We wrześniu poszedłem do szkoły do 7 klasy. Częściowo powtarzałem

Reichel Bohdan c.d. - 16 -
materiał, który już przerabiałem kiedyś. Dzięki matce
wchodziłem łatwiej w język rosyjski.

Nakazu posyłania młodzieży do szkoły nie było, ale samo
przez się było zrozumiałe, że jeżeli dziecko jest w wieku
szkolnym, to powinno iść do szkoły. Szkoła była dla nas
wybawieniem od tej beznadziejnej pracy. Po pierwszym dniu
nauki w tej szkole powiedziałem mamie, że więcej do tej
szkoły nie pójdę, bo nic kompletnie nie rozumiem, nie wiem, o
czym nauczyciele mówią. Jedyną informacją, którą zrozumiałem,
dotyczyła tego, że dzieci nie mogą mieć wczół. Co gorsza,
nauczyciele nie wierzyli nam, że my nie znamy języka
rosyjskiego, uważali, że my nie chcemy się nim posługiwać,
że to jest swoisty bojkot. Nauczyciele namawiali nas, żebyśmy
rozmawiali po rosyjsku z kolegami, żebyśmy między sobą mówili
po rosyjsku. W szkole nie było zakazu mówienia po polsku i
wydają mi się niesamowite wspomnienia Polaków, którzy trafili
do takich miejsc, gdzie zabraniano dzieciom mówić po polsku.
A w Tutujasie byli Rosjanie, którzy byli zesłani wcześniej i
niektórzy nauczyciele wywodzili się z zesłańców, a inni
spośród rdzennej ludności. Ukraińcy też byli, i w Myskach i w
Tutujasie.

Kiedy nauczyciele z czasem przekonali się, że my
rzeczywiście nie znamy tego języka, dano nam pewien okres
luzu: wtedy nas nie pytano, wyznaczono dodatkowe lekcje
popołudniowe. Uczyliśmy się czytać i pisać po rosyjsku.
Chodziliśmy na te lekcje nawet chętnie, bo języka warto było
się nauczyć.

Mieszkałiśmy w barakach przeznaczonych dla Polaków, ale
te baraki nie były wyizolowane od innych budynków. Był nad
nami komendant, ale zachowywał się tak, że nie był zbytnio
dostrzegalny. Wszyscy wiedzieli, jakie porządki obowiązują -
tego dowiadywaliśmy się z okresowych zebrań dla Polaków.
Wiadomo było, że jeżeli ktoś będzie pracował solidnie, to
będzie miał prawa takie same jak wszyscy inni mieszkańcy. Nie
wolno nam było jednak opuścić tej wsi bez odpowiedniej
przepustki, a po wsi mogliśmy się poruszać bez ograniczeń.

Ludność miejscowa kontaktowała się z nami bez obaw. Nie było jakiegos wyrażnego ciężenia ku sobie naszych społeczności, jakiś dystans był, ale nie było zakazów administracyjnych. U miejscowych braliśmy mleko, ziemniaki - to był handel przeważnie wymienny, bo oni woleli przescieradło czy jakąś inną rzecz zamiast pieniędzy.

Nauczyciel nasz z czasem przekonał się, że my rzeczywiście nie znamy języka. Ja uprawiałem się w czytanie na wierszach Puszkina, bo poezja narzucała rytm /akcent/, a mama w domu pomogła zrozumieć nieznane słówka. A przy mnie korzystał i mój kolega - Heniek Trusewicz. Heniek był z Polesia, ale on z rodziną potem gdzieś wyjechał.

W naszym baraku były dwie rodziny z Polesia, jedna - typowo poleszucka, a druga polska. Jedną rodziną - Pietrusewiczów - składała się z 5 osób: matka, ojciec, dwóch dorosłych synów i dziewczynka; rodzina Bochenów była poleszucka, rozmawiali nawet po białorusku. A my w jednej izbie mieszkaliśmy z rodziną polskojęzyczną.

Chleb był na przydział. Za pracę dawali pieniądze, za to trzeba było wykupić przydział chleba. Ceny chleba przydziałowego utrzymywały się długo na stałym poziomie. Kilogram żytniego chleba kosztował 75 kopiejek, a pszenno-żytniego 90 kopiejek. Chleb z białej mąki był ponad rubel. W Tutujasie od samego początku pracował brat, a ja pracowałem przez wakacje. Ale tego zarobku było niewiele - 13 rubli, 15, ale zawsze to było coś.

Mieliśmy kontakt z mamy mlecznym bratem, który mieszkał w Lebiodce. Ale wuj nie mógł nam pomóc, oni sami byli w tarapatkach. Dla nas najcięższa była zima 1940/41 i wtedy doświadczaliśmy pomocy ze strony najbardziej nieoczekiwanej, od rozmaitych ludzi. Wielu z nich nie znamy do dzisiaj. Mama notowała wtedy ich adresy, ale te adresy nam nic nie mówiły. Nie wiedzieliśmy też, skąd ci nadawcy mają nasz adres, imiona, nazwiska.

Dostałem paczkę od pani Czerniejowej z Grodna, ale ja pisałem do niej. Przysyłał a nam paczki siostra, od niej

Przysyłała nam paczki regularnie siostra, dopóki to było możliwe. Dostawaliśmy pomoc od jakiegoś księdza z Druji; pomagała nam ciocia z Wilna. Dzięki tym paczkom przetrwaliśmy zimę 1940 roku. Potem już głód nie był taki straszny, bo ja poszedłem pracować, a brat poszedł do wojska. Syci nie byliśmy właściwie nigdy, jadło się wszystko, co nadawało się do jedzenia. Kiedy zacząłem pracować w Prokopiowsku, to starałem się sciągnąć mamę do siebie, bo tam dostawałem kartki na siebie i na mamę. Dla mamy była kartka najniższej kategorii, ale ja miałem kartkę górniczą. A w Myskach mama dostawała 15 dkg chleba, a ja 30.

W pewnym momencie w Myskach zachorowałem na żółtaczkę. Na szczęście to nie była żółtaczką zakaźną. Doszedłem wtedy do szpitala i zemdląłem, na chwilę straciłem przytomność. Ludzie natychmiast zareagowali i przepuścili nas bez kolejki. Lekarka odmówiła przyjęcia mnie do szpitala, bo w szpitalu nie było czym karmić chorych. Przepisała mi na receptę pół kilograma cukru i pół kilo ryżu. W sklepie to było, ale nie było w wolnej sprzedaży. To kosztowało tanio, bo ceny oficjalne nie były wysokie. Leżałem więc w domu, ale mamę to wszystko bardzo niepokoiło. Po paru dniach poszła do lekarza prywatnie. Wtedy właśnie przywieźli nadwożańskich Niemców. Mama poszła do lekarza Niemca z prośbą, by mnie zbadał i coś poradził. Lekarz przyszedł /mieszkał w tym czasie w ziemiance/, zbadał i powiedział, że tylko dieta. A na dietę można było w tamtych warunkach zaaplikować tylko tarte ziemniaki i tarte buraki cukrowe. Lekarz jeszcze raz przepisał pół kilo czegoś - czy to był ryż czy cukier, tego nie pamiętam. Mama wydała na tę wizytę ostatnie 100 rubli, jakie miała.

strona B

Kiedy zabierałem mamę do Prokopiowska, to wykopaliśmy swoje ziemniaki z działeczki. Miałem działkę jako pracownik spółdzielni, a byliśmy przecież już na paszportach radzieckich, więc miałem prawo do działki. Ziemniaków tych

nie mogliśmy zabrać ze sobą, bo do Prokopiewska było około 80 kilometrów w prostej linii, ale z tego 30 km było pociągami, a reszta to były bezdroża. Trzeba było płynąć łódką. Ziemiaki te musieliśmy sprzedać i wtedy właśnie przyszedł do nas ten lekarz. Byłem zadowolony, że możemy je sprzedać właśnie jemu i chociaż w ten sposób się odwdziaczyć. Z tych pieniędzy musieliśmy oddać dług, a mieliśmy go u Rosjanina, który pożyczył mi dwa tysiące rubli na zakup sadzeniaków. A ja zarabiałem 200 rubli miesięcznie. Człowiek ten nie znał mnie zbyt dobrze, pożyczył bez żadnego poręczenia czy jakiegos zastawu. Nie wiem, czy dzisiaj znalazłbym kogoś, kto by mi pożyczył kwotę równą 10-krotnym moim zarobkom bez poręczenia.

W Prokopiewsku kupiliśmy sobie ziemniaki, ale nas okradziono; piwniczka była poza mieszkaniem.

Polacy między sobą żyli zgodnie. Pomagać nie mieli czym sobie wzajemnie, tyle tylko, że utrzymywali ze sobą kontakty. Kiedy wręczali nam radzieckie paszporty to na pierwszy ogień poszedł chyba pan Kondratczyk. Ten oczywiście nawet słyszeć nie chciał o obywatelstwie radzieckim. To go posadzili do piwnicy, żeby się namyślił. Żona przynosiła mu jedzenie, ale jak długo mogła go karmić, z czego? On był krawcem, zarabiał na utrzymanie rodziny. Musiał więc ulec. I tak było ze wszystkimi. My też próbowaliśmy wdawać się w jakieś dyskusje.

Jeszcze jak byliśmy w Tutujasie to po umowie ZSRR z Sikorskim wydano nam zaświadczenia o tym, że jesteśmy obywatelami polskimi i możemy osiedlić się w wybranym przez siebie miejscu. Dokumentem tym cieszyliśmy się pół dnia, gdyż wydano go po południu, a zabrano tej samej nocy.

Przy tych radzieckich paszportach usiłowaliśmy mówić, żeby nam wrócono nasze dokumenty, skoro nie możemy tam mieszkać bez dokumentów. Nas puszczono do domu, żeby się zastanowić. Naradziliśmy się z pozostałymi Polakami i doszliśmy do wniosku, że trzeba wziąć te paszporty. Moj był na 5 lat, a mamy - bezterminowy. To mamę przerażało.

Posiadanie tych paszportów przez tych parę lat pomogło nam o tyle, że nie robiono różnicy pomiędzy nami i miejscowymi mieszkańcami - po opanowaniu języka, kiedy przenieśliśmy się do innego miasta, nie spotykały nas już afronty. Jeszcze w Myskach spotykały mnie czasami afronty, od partyjnych przeważnie. Ale nawet mając radziecki paszport nie mogliśmy się swobodnie poruszać, ale Rosjanie też byli ograniczeni jeśli chodzi o swobodę poruszania się. Niektórzy z nich jeszcze paszportów w ogóle nie mieli - ani w Tutujasie ani w Prokopiewsku. Młodzież otrzymywała paszporty, ale tylko wtedy, gdy wyruszała gdzieś w inne rejony - do wojska, czy gdzieś dalej do szkoły. A my pod tym względem byliśmy w lepszej sytuacji.

Kiedy pracowałem w spółdzielni w Myskach, w księgowości, było nas 3 osoby - księgowa, ja i pomocnik. Pracowaliśmy w pokoiku w biurze jednostki nadrzędnej /coś jakby nasz PZGS/. Czasem do nas przychodził taki starszy pan, który może był we władzach spółdzielni, bo zawsze miał coś do załatwienia. Pan ten patrzył na mnie zawsze niezyczliwie, ale chwilami zapominał, że ja jestem Polakiem, a może robił to celowo. Kiedyś z oburzeniem powiedział, że przywieźli masło "dla polaczków", bo akurat przyszły skądś dary dla Polaków. Nikt życzliwy nie mówił o nas "polaczki". Takie odzywki nie były przyjemne, ale to nie zdarzało się zbyt często. ■

Była awnatura, kiedy mój brat poszedł do wojska. To, że on dotarł do Andersa szczęśliwie, to był jeden z cudów, które się zdarzają. Brat wyjechał po południu. Miał normalne skierowanie z wojenkomatu - wyjeżdżał on do polskiego wojska i dwóch Rosjan do radzieckiego. Pojechali razem na jednej podwodzie - saniach. A ja sobie poszedłem normalnie do pracy, a pracowaliśmy wtedy nawet po południu, bo było dużo pracy. Dostawaliśmy wtedy coś do jedzenia i picia: herbatę słodzona i jakąś rybę. Pracuję więc po południu a tu w pewnym momencie telefon - do mnie. Dzwonił Bojcow, komendant

NKWD nad nami /a może też i nad wszystkimi mieszkańcami/ w Myskach. Takiego samego mieliśmy też w Tutujasie, ale on był niezbyt dostrzegalny. A tu Bojcow kazał mi przyjść do siebie. A ja na to pomyślałem, że zanim ja się zgłoszę do niego, to najpierw poradzę się z mamą. Wstąpiłem więc do tej ziemianki, mówię mamie, że mnie woła Bojcow, jeżeli nie wrócę, to żeby wiedziała, że poszedłem do NKWD. Wyobrażam sobie, co moja biedna mama przeżywała! Poszedłem do niego z duszą na ramieniu, ale myślę, że on do mnie nic nie może mieć, bo pracuję normalnie, a tego co ja myślę, to on nie zna. Po przyjęciu komendant zaczyna mnie wypytywać o dane personalne, o rodzinę i nagle: "A gdzie jest twój brat?" A ja na to, że brat pojechał do armii, do polskiego wojska, że dostaj skierowanie z wojenkomatu. On na to, kto im w wojenkomacie pozwolił wydać takie skierowanie. A ja już w te sprawy nie mogę ingerować. Powiedziałem, że brat pojechał rano i ja nie wiem, gdzie jest teraz. Bojcow nie mógł usiedzieć na miejscu, biegał po tym pokoju tam i z powrotem, tam i z powrotem. Złakłem się o Adama, bo Adam był jednym z tych, którzy zastrajkowali, kiedy się dowiedzieli o umowie z rządem Sikorskiego i o tym, że jesteśmy amnestionowani, a tu na miejscu nas nie chcą wypuścić. Adam wtedy był aresztowany. A tu zrozumiałem, że nic nie mogę Adamowi pomóc. Wreszcie Bojcow kazał mi wracać do pracy, świetnie wiedział o mnie wszystko, nawet to, że ja po obiedzie pracuję. Tam było takie szpiclowanie, że oni wszystko wiedzieli o każdym człowieku. Wróciłem więc - najpierw do mamy, żeby mogła się uspokoić, że ja jestem wolny. Mama siedziała po ciemku, bo światła tam nie było. A ja wróciłem do pracy. Za jakiejś pół godziny znów telefon. Nastawiłem się na rozmowę od Bojcow. A tu dzwonił Adam, zaledwie z Biezurkowa, o 30 kilometrów od nas. Tyle tylko ujechali tym koniem i zatrzymali się na nocleg. Przekazałem mu, że Bojcow pragnąłby widzieć go z powrotem... Brat tylko się zaśmiał. Do dziś nie wiem, co się stało, że Bojcow nie użył wszystkich środków, żeby go zatrzymać, to

to było tylko 30 kilometrów. Może nie miał prawa, może się czegoś bał. Myśmy czekali z niecierpliwością, żeby się brat odezwał z Buzuluku.

A tu potem się zaczęła druga sprawa - mobilizacja do Armii Kościuszkowskiej. Wezwano nas wszystkich do wojenkomatu, nastawiliśmy się na to, że będziemy powołani. Nie było dużego entuzjazmu, ale niektórzy chłopcy się cieszyli. Ja natomiast z ciężkim sercem stawałem na komisję, mnie przygnębiała świadomość, że moja mama zostanie już całkiem sama, czy ja będę mogli do niej wrócić i kiedy to będzie możliwe. Po komisji ktoś wybiegł z wojenkomatu i przeczytał 3 nazwiska, m.in. moje i kazał nam iść do domu, a pozostali mieli się zgłosić po skierowania. Oprócz mnie do domu został skierowany Robert - brat pani Głębockiej z Kamiennej Góry i jeden starszy mężczyzna - pan Bałabański. On był starszy i trochę głuchy. Nasze zwolnienie tłumaczyliśmy sobie na różne sposoby: może mieli w stosunku do nas inne plany. W sprawie Roberta mogło zaważyć to, że jego mama była na indeksie, aresztowano ją i skazano na 11 lat, potem po 10 latach wróciła do Kamiennej Góry. Siedziała za to, że coś powiedziała. Robert mówił, że kiedy pojechał po aresztowaniu matki po siostrę, to mieszkanie było tak przeorane, tak zrewidowane, zabrali nawet pamiętnik, który on pisał. To była pani Gorczycowa /Gorczyca/.

Ja mogłem być pozostawiony ze względu na brata, być może liczyli na to, że brat wróci do mnie. Tak pozostawili mnie przez miesiąc w spokoju, a po miesiącu wezwali znów. Zjawiliśmy się pan Bałabański, Robert Gorczyca i ja - i kilku Rosjan. Nie znaleźmy ich, bo już w Myskach nie chodziliśmy do szkoły. Dostaliśmy skierowanie do Prokopiewska do pracy w kopalni - my Polacy, a ci Rosjanie do jakiejś fabryki amunicji. Mielismy trzy dni na dojazd. To było 80 kilometrów, ale nie było kolei. Jakżeśmy tam docierali, to się nie da opisać. Zbiliśmy jakąś tratwę, nie można było się spóźnić, to nie wchodziło w rachubę. Płyneliśmy tratwą - przenocowaliśmy

po drodze, na drugi dzień dotarliśmy do Stalinska, /dzisiaj Kuznieck/ i potem już na miejsce, do Prokopiwska. Ani co zjeść, ani gdzie spać, ani co ze sobą zrobić - coś okropnego. Ale dotarliśmy do tego miejsca, gdzie mieliśmy się zameldować: to było zjednoczenia "Kuzbasugol".

Powiedziano nam, że jesteśmy skierowani do pracy do kopalni i mamy tam się zgłosić. Zgłosiliśmy się tam, obejrzano nas, a my - chudzi, byle jak ubrani. Skierowano nas na badanie lekarskie. Lekarz jak nas obejrzał, przesłuchał to wydał zaświadczenie, że do pracy w kopalni nie nadajemy się - żaden z nas, bo jeden głuchy, a dwaj pozostali chuchrowaci. To my na to nawet ucieszyliśmy się że wrócimy do domu, polecimy jak na skrzydłach. I cały czas jesteśmy głodni, bo nigdzie nic do jedzenia kupić nie można. Nocleg, nawet bezpłatny, dostaliśmy w hotelu robotniczym należącym do kopalni. Przybiegliśmy z powrotem do zjednoczenia z informacją, że lekarz nas do kopalni nie puścił. Zaproponowałem, że pojedziemy z powrotem do domu. Ale to było już niemożliwe - skoro trafiliśmy do Prokopiwska, to tu musimy pracować. Ale co możemy zrobić: pan Bałabański był rachmistrzem w kolchozie, Robert robił coś w gospodarczym w kolchozie, ja pracowałem w księgowości. Wobec tego skierowano tych dwóch do działu komunalnego, a mi kazano przyjść na drugi dzień. Zapytano, czy umiem liczyć na arytmometrze - umiałem. Na drugi dzień okazało się, że szkoda, że jestem Polakiem i na Syberii znalazłem się jako przywieziony z Polski. Był zamiar zatrudnienia mnie w biurze, ale teraz... Powiedziałem, że mogę pracować w biurze. Ktoś mi doradził, żebym poszedł do kopalni do pana Kozłowskiego, księgowego ewakuowanego z Leningradu - tam potrzebowali księgowego. W zjednoczeniu nie mogli mnie zatrudnić, bo byłem Polakiem. Jakaś pani nawet zadzwoniła w mojej sprawie i kiedy przyszedłem, to przyjęto mnie bardzo życzliwie.

Pracowałem normalnie, nie było tam dla mnie nic

trudnego; ale dostałem kartkę urzędniczą. Poszedłem do stołówki raz i drugi i po dwóch tygodniach nie mam już z czym iść -pieniądze mam, ale kartki nie mam, bo wycinano przy każdym daniu. Jeść się chce, bo byłem w wieku, kiedy trzeba dużo jeść. Na czarnym rynku ceny były szalone, za cały miesiąc w kopalni mogłem zarobić na wiadro kartofli. Mleko kosztowało od 10 aż do 100 rubli. Czasami coś kupowaliśmy. Ziemniaki mama potem kupowała na sztuki. Ale początkowo byłem sam i byłem zdany tylko na stołówkę.

Siedzę więc w tym biurze i nie wychodzę na obiad. Siedziała też pewna pani, która miała coś do zjedzenia ze sobą. Zapytała mnie, czemu ja nie idę na obiad. Tylko tego pytania mi brakowało! Lzy mi się w oczach zakreśliły. Nie miałem komu się zwierzać. Pani ta prędko wycięła coś ze swojej kartki i kazała mi iść do stołówki. Nie miałem się czym odwdzięczyć, ale do dzisiaj pamiętam jej dobroć. Z tej kartki zjadłem chyba dwa razy obiad i kolację. Ale potem znów siedzę bez jedzenia. Pani ta przyniosła mi takie talony na drugie danie /ewakuowani dostawali oprócz kartek jeszcze dodatkowe przydziały na drugie danie/. Pani ta musiała chyba oddać mi swoje przydziały i pana Kozłowskiego. Byłem jak dziad, ale musiałem przyjąć te kartki, bo jeść musiałem i to codziennie. To był dla mnie początek najstraszniejszego roku. To był rok 1943 i zima 1943/44.

Potem kiedy poszedłem do szkoły w 1944 roku to dzięki temu, że troszkę odżyłem, mama była już na miejscu. Tam było okropnie, a to przecież było daleko od frontu, na zapleczu, które powinno było żywić cały kraj.

Wtedy męczyłem się z tymi talonami chyba do końca miesiąca: jeden posiłek dziennie to było za mało więc czasami jadłem i kolację. To drugie danie to była kasza manna, tyle, żeby zakryć dno talerza. Brałem taką zupę, która była bez niczego, tylko na przykład woda i buraczane liście, tam nie było ani jednej krupki. Taka zupa była bez kartek. Można tego było kupić nawet dwie porcje. Byłem wtedy już taki słaby, że trzy razy odpoczywałem, zanim pokonałem

nasyp kolejowy, który był po drodze z pracy do domu. Z czasem przełożeni zobaczyli, że ze mną jest źle, że trzeba mnie skierować gdzieś, gdzie mogłbym jeść bez takiego dużego ograniczenia. Skierowano mnie do posesiłka Niemców nadwołżańskich. Niemcy ci byli w Prokopiewsku, za drutami, do pracy chodzili pod bagnatami. Ale mieli swój samorząd. Nad nimi głównym naczelnikiem był zastępca naczelnego kopalni, miał współpracowników spośród Niemców, ludzi mądrych. Niemcy mieli swoją stołówkę, próbowali nawet urządzać teatrzyk amatorski. Mieszkali w ziemiankach. Ja byłem tam buchalterem sztabu. Praca moja polegała na tym, żeby co miesiąc zaopatrywać ten posesiłek w kartki żywnościowe dla ludzi pracujących pod ziemią. Praca ta wymagała strasznej skrupulatności. Co miesiąc musiałem z tych wszystkich komórek, gdzie kto pracował, pozbierać listy, pozatwierdzać je w kilku miejscach - żeby nie było martwych dusz, potem zatwierdzało się przydział kartek różnych kategorii, bo były przecież i kobiety i dzieci i różne miejsca pracy. Te kartki trzeba było oddać do biura kartkowego, gdzie planowano zaopatrzenie, otrzymać potwierdzenie i ten dokument oddać do stołówki, bo on był podstawą do odbierania produktów.

Praca była odpowiedzialna i bardzo niebezpieczna, bo z tymi kartkami szedłem w nocy - w dzień sporządzałem te wykazy - to była wieczna udreka. Ale były plusy - Niemcy ratowali siebie i przy tym ratowali mnie. Oni uważali mnie za Niemca, bo nazwisko miałem niemieckie. Wiedzieli, że jestem Polakiem, ale to im nie przeszkadzało. U nich też byli ludzie o takim samym nazwisku.

Moim szefem był Rosjanin, a wszystko było liczone bardzo skrupulatnie. Ale księgowy mnie zawołał i polecił przychodzić do stołówki pomiędzy zmianami, a miałem jeszcze swoją kartkę w mieście. Dzięki tej pomocy, jaką miałem w tym obozie Niemców, przetrwałem, stanąłem na nogi. Kiedy pojechałem po mamę do Mysków, to już miałem siły chodzić. Tym Niemcom zawdzięczam to, że nie zmarłem z głodu.